

## **Biblioteka przestrzeni dla kreatywnych, czyli z wynurzeń znużonego mola książkowego**

Jako ultrakoneser książek, a zwłaszcza inkunabułów, próbowałem onegdaj o późnonocnej porze wgrzyć się w nasz megaprzysmak z dziada pradziada - „Żołtarz Dawidów”, który spożywam z rzadka, w cotrzyipółrocznych odstępach. Znienacka spod ościeżnicy wpółotwartych podwoi wychynął zszarzały mrzyk. Przeżuwając z rozrzewnieniem korzeń rzewienia, by wzmóc w trzewiach trawienie, rzucił z cicha pęk: „Przyjacielu, musisz zmienić dietę - biblioteka przechodzi na e-booki”. Bodajbym nie dożył takiego zhańbienia. E-booki! Tego ohydztwa nawet cherlawy mrzygłód się nie tknie, a cóż dopiero honorowy mól. Miast być zzymającym się na życie zrządą, trzeba przeciwdziałać. Notebookom, e-książkom na pohybel! Próbując przemoc przemożny żal, półleżąc, rozejrzałem się wkoło. Jak unicestwić to elektroniczne paskudztwo? Mój wzrok zatrzymał się na „Ogniem i mieczem”. Skuteczny sposób, ale użyty wśród łatwopalnych woluminów, uczyniłby ze mnie superbohatera arcypowieści wszech czasów: „Ludzie bezdomni”, pardon: „Mole bezdomne”. Sięgnąłem po wysłużony, przyprószone kurzem, szcerniały na brzegach instruktarz zatytułowany: „Jak wytrzebić komputerowe myszy i inne e-gryzonie”. Tam niby-bezcenna rada: „Odciąć źródło energii, przyżec w żarze przewody - mysz zdechnie”. Też mi coś, dlaboga, wszakże to plugastwo jest dziś bezprzewodowe. Trzeba by to zrobić na opak. Nasamprzód dobrać się do tchórzliwej zgrai zabarykadowanych w monitorach, zhardziałych megapikseli i wytłuc je po kolei. Raz-dwa zwołałem pospolite ruszenie. Z „Dziejów oręża polskiego” wysypała się chyżo cała armia mrzyków husarzy w stosownym ekwipażu. Na każdym przyłbica, półpancerz i koncerz służący do klucia. Spomiędzy żółkłych kart ekstrapowieści Karola Maya wysunęły się chrząszczyki w chitynowych pancerzykach i w entourage’u à la Winnetou, z tomahawkami w przednich odnóżach. Prócz tych pseudo-Apaczów, nie mogły zawieść też pluskwy, które całymi hordami wymaszerowały z monografii o Czyngis-chanie (Dżyngis-chanie), wymachując ostro zakończonymi kindzałami w tę i we w tę (wte i wewte). Na hasło „hekatomba” rozpoczęła się rzeź. Każdy z megapikseli dostawał kilobitem w pyszczek i padał martwym bykiem. Po półgodzinie było po wszystkim. Zegar z gżegzółką wybił ósmą. Bibliotekarz pół-Azjata, marząc o surfowaniu w Internecie (internecie), włączył sprzęt. A tu, prawdziwy Armagedon: wystrzały, sprzężenia, minipożary i maksieksplozje, a w końcu blackout (blekaut). Przeżuwając resztki „Odysei”, zachichotałem. A kuku! Żegnaj e-booku.